ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Września. N^er^ 37. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. 34. 35. 36. Rozmaitości.)

VII.

Tryumf Maryi.

Przy zwyczajnéj sposobności byłaby despotyczna małżonka Giannone wybuchła całym swym gniewem za piérwszém okazaniem się dwojga winowajców. Tą razą jednak, obawiając się ażeby niepopełniła niedorzeczności, niepowiedziała ani słowa o tém wszystkiém co jéj się snuło po głowie; owszem powitała swego męża i córkę serdeczniéj niż zazwyczaj, i udała się do kuchni przysposobić spóźniony obiad. I gotując polpete i macaroni przemyśliwała nad dalszym planem.

Obiad minął bez najmniejszéj wzmianki, Marya odłożyła swój pośredni atak na wety. Ktoby jednak był z kąta przypatrywał się temu obiadowi, byłby spostrzegł jak twarz pozornie wesoła matki od czasu do czasu się zasępiała, a oczy jéj ukradkiem miotały gniewne spojźrzenia na dwoje spółwinowajców, którzy niewiedząc o niczém zajadali smacznie jak zawsze.

— Cóż-to ma znaczyć, rzekła nakoniec Marya, że ten mały Manello nic nam o sobie niedonosi?

Giglia i ojciec spojźrzeli na siebie jak gdyby się chcieli naradzić.

— Mój Boże! odpowiedział Giannone, nic w tém dziwnego, poczciwy chłopiec tak zatrudniony.

— Zatrudniony... zatrudniony... czy już tak dalece iż mu niepodobna napisać do nas kilka słów przyjacielskich?

Wymijająca odpowiedź męża tak oburzyła Maryę, że wyrzekła te słowa z znacznym przyciskiem. Giannone i Giglia zadrżeli; a gospodyni domu spostrzegła po ich fizyognomii że gotowa się zdradzić! Zaczęła więc znowu głosem łagodniejszym.

— To wcale niegrzecznie z jego strony, ja go tak lubiłam! Ale ci młodzi ludzie wszyscy jednacy: byle z oczu, to już zapominają o dobrych znajomych.

— Ależ mamo, on o nas niezapomina, wyrwała się Giglia stając w obronie dobrego serca swego Manello.

— Że o nas niezapomina być może... może i myśli czasem o nas; ale, dodała uśmiechając się przebiegła kuma, ja wiem dobrze że miłość przedewszystkiém zajmuje jego serce.

Te słowa można sobie było różnie tłumaczyć; Giglia zmieszała się jak gdyby się do niéj stosowały. Marya która to uważała, poznała zaraz że sąsiadka miała słuszność; jednak niedała tego poznać po sobie, lecz dodała z udaną dobrocią.

— Zresztą któżby mu to miał za złe; kochany chłopczyna dobrze ma że się kocha, alboż-to wiek jego nie potemu?

Giglia odetchnęła, nadzieja wstąpiła w jéj serce, a Giannone złapany w sidło rzekł najniewinniéj:

— Więc ty, Maria mia, pochwalasz miłość Manella?

Tu już gniew ambitnéj baby bliski był wybuchu, spojźrzała na męża wzrokiem tak przeszywającym, że musiał spuścić oczy. Byłaby może wyrozumiałą na to, że córka jéj przywiązała się do młodzieńca który tak często bywał w ich domu, niebyłoby ją może tak gniewało że oboje młodzi taili swą miłość dziecinną; ale tego strawić w żaden sposób niemogła, że mąż jéj wiedział o téj tajemnicy, że ona tylko jedna była oszukaną i niewiedziała o niczem. Jednak opamiętała się po chwilce, bo sama także miała tajemnicę swoją i wiedziała dobrze jakie wrażenie zrobi na mężu i córce wyjawienie że Manello podróżuje sam na sam z Plautillą.

— Czy pochwalam miłość Manella?... Pewnie że pochwalam, rzekła z złośliwym uśmiechem; mnie się podoba jeżeli młodzi ludzie idą za popędem serca: młodość nietrwa tak długo.

Pomimo wątpliwego spojźrzenia swéj żony, Giannone nie mógł się oprzéć podać jéj na te słowa swoją rękę. Ale ona miasto odpowiedzieć na tę oznakę serdeczności, wpatrzyła się w biedaka z urągającém zdziwieniem, mówiąc:

— I cóż ciebie to tak mocno wzrusza? Co ciebie to może obchodzić że się nasz przyjaciel Manello włóczy z córką mistrza Angelo?

— Jakto? z Plautillą... to być niemoże!...

— Dlaczegoż nie! Mnie to się wydaje rzeczą zupełnie naturalną. Znają się od dawna, nic więc dziwnego że mieli dość sposobności pokochać się, oświadczyć sobie wzajemną miłość i dawać sobie dowody tego uczucia. A jeżeli wątpisz o téj wiadomości, zrób jak ja i zapytaj samego mistrza Angelo Volpe.

Giglia, którą ta cała rozmowa wzruszyła do najwyższego stopnia, omało niezemdlała słysząc te ostatnie słowa. Biedna dziewczyna oparła się o stół i ukryła twarz swoją w dłonie. Marya postanowiła niedomyślać się niczego tego wieczora: udała więc jak gdyby sądziła że się Giglii nagle zrobiło niedobrze:

— Cóż tobie moje dziecko? takeś pobladła! boli cię głowa?... Musiałaś się bardzo zmęczyć w ogrodzie na willi. Niemasz przyczyny płakać. Idź połóż się, moje dziécię, a jutro będziesz zdrowa.

Giglia korzystała chętnie z tego napomnienia by się czémprędzéj oddalić; prosiła matkę ażeby się z nią nietrudzi-

ła, mówiąc że się czuje jeszcze dość silną dostać się do łóżka. Na to wyszła jak mogła z pokoju by w samotności swobodnie oddać się żalowi.

Zostawszy sam na sam z mężem Marya, zrzuciła maskę obłudy. Zaczęła mu robić największe wyrzuty: że największém jéj nieszczęściem iż poszła za niego; że zawsze postępował z nią niegodziwie, a ten ostatni jego postępek uwieńczył całą jego nikczemność. Przez swoje lenistwo i swą głupotę zaniedbał najpiękniejszéj sposobności zrobienia majątku; a teraz kiedy się wydarza tak wyśmienita sposobność, kiedy niebo zséła ostatni środek zbawienia, wspaniałomyślną protekcyę Monsignora Testaccio, nietylko że z niéj niekorzysta, ale jeszcze wspiéra niedorzeczne miłostki z chudym pachołkiem bez rodziców i bez majątku, z artystą bezwstydnym i niemoralnym. Przytem nieszczędziła najzelżywszych wyrazów na jakie tylko gniew jéj długo wstrzymywany mógł się zdobyć.

Zagłuszony, odurzony, biedny Giannone, który mi przy pożegnaniu tak solennie przyrzekał swą protekcyę, zamilkł i otworzył gębę, jak gdyby się nagle przeistoczył w rybę. Ta potulność nieuspokoiła jednak jego małżonki, która długo jeszcze perorowała z tego samego tonu. Potem mu powiedziała o wizycie Monsignora i o przedstawieniu się nowego zięcia, który znaczny prowadzi handel z Lewantą. Chwaliła co niemiara przymioty Romola Gangheri oświadczając że podobna akwizacya jest dla nich losem niespodziewanym, i że warto dla niéj poświęcić młodego ladaco który zaledwie ma się w co przyodziać (w ten sposób mówiła o mnie).

Wkońcu nakazała mu najostrzéj ażeby nigdy o mnie niemówił z swoją córką, i wymogła na nim przyrzeczenie że odtąd będzie jéj oddawał wszystkie moje listy na spalenie. Pod tym warunkiem obiecała mu że przed nikim nie wyjawi tajemnicy o jego haniebném postępowaniu, i napomniała go ażeby się jak najgrzeczniéj obchodził z moim rywalem Romolo Gangheri.

Poczciwy Giannone wcale niebył silnego charakteru; dowodem tego ta scena w któréj się zupełnie dał opanować. Jednak gdyż mnie rzeczywiście bardzo lubił, zdaje mi się rzeczą pewną, iżby był stanął w mojéj obronie, gdyby nie wiadomość o moim domniemanym stosunku z Plautillą. Wszystko się więc sprzysięgło tego wieczora by go pognębić i ograniczyć na smutną rolę, jaką odtąd zmuszony był odgrywać.

Złapano go na tém że przed żoną ukrywał wielką tajemnicę, a ta odgadła ją bez niego; dowiedział się nagle o mojéj domniemanéj zdradzie względem jego Giglii; a na domiar wszystkiego tego samego dnia Monsignor Ettore Testaccio raczył przyjechać swoją karétą z kutasami, by na miejsce demaskowanego zdrajcy, przedstawić zięcia bogatego, przystojnego i cnotliwego. Jakoż gdy teraz jeszcze pomyślę o niesłychanéj słabości charakteru tego poczciwca, uważam go niewinnym dla zbiegu tylu ważnych okoliczności.

Nazajutrz, Romolo Gangheri przybył sam jeden.

Marya zaprosiła go na obiad i była dla niego pełną uprzejmości; Giannone był grzeczny, ale smutny i małomowny, mimo wszelkiéj zachęty ze strony Maryi, ażeby okazywał więcéj przychylności przyszłemu zięciowi. Giglia usiłowała przedewszystkiém ukryć swoje zmartwienie, niezwracała więc uwagi na gościa. Ażeby przynajmniéj w jednym punkcie wypełnić zlecenie Monsignora, nieprezentowała jéj Marya nowego gościa pod tytułem starającego się o jéj rękę. Wieczór był więc oziębły i wymuszony. Każdy z wyjątkiem Romola starał się utaić swoje uczucia.

W następnych dniach zięć in spe przychodził tak regularnie jak zmrok. Te peryodyczne nawiedziny zaczęły wreszcie niepokoić Giglię; zaś jéj ojciec, posłuszny żonie, stawał się coraz grzeczniejszym, coraz poufalszym względem człowieka, który zabierał moje miejsce.

Romolo Gangheri zwracał albo zdawał się zwracać mało uwagi na mniejszą lub większą serdeczność, z jaką go przyjmowano. Zimny i poważny jak jaki hidalgo Staréj Kastylii mało tylko otwierał usta, a gdy mówił, to zawsze tonem ceremonialnym i dumnym. Jeżeli kochał moją Giglię, tedy okazywał jéj miłość swoją w powierzchownych grzecznościach, które wcale niebyły wstanie zjednać mu z jéj strony inne przyjęcie prócz wyrachowanéj oziębłości; zwłaszcza że cała powierzchowność tego pretendenta o rękę Giglii była odrażająca.

Pewnego poranku Marya postanowiła zbliżyć ich więcéj do siebie. Zaczęła od tego że przedstawiła swéj córce o przymiotach, tytułach i pretensyach nowego gościa. Biedna Giglia odgadła już wszystko słysząc tego człowieka mówiącego często o jéj chrzesnym ojcu i o łaskach jakie mu przyobiecał Monsignore. Ta myśl sama odbierała jéj spokojność; ale najboleśniejszém było dla niéj że jéj ojciec od niejakiego czasu unikał jéj zwierzeń i odjął jéj swoją protekcyę.

Przemyśliwała nad sposobami oporu. Gdyby przynajmniéj była wiedziała w którém mieście ja się znajduję, byłaby mnie uwiadomiła o niebezpieczeństwie tak jakeśmy się umówili; niemogła bowiem uwierzyć w moją niestałość pomimo wszelkich pozorów. Nakoniec postanowiła biedna dziewczyna wzbraniać się stale pójść za mąż. Z tém więc oświadczeniem wynurzyła się przed matką gdy ta jéj wyjawiła zamiary Romola Gangheri.

— Tak, ty niechcesz pójść za mąż? zawołała Marya; no! proszę! a co na to powie twój chrzesny ojciec?

— Ja mu to sama powiem przy piérwszéj sposobności, gdy go zobaczę, rzekła Giglia stanowczo.

— Zobaczymy! zobaczymy szalona dziewczyno, czy będziesz śmiała mu to powiedzieć. Ciekawam co mu na to odpowiesz, gdy cię spyta o przyczynę tego uporu?

— Powiem mu że nikogo nie kocham.

— Więc skłamałabyś, a onby się o tém zaraz dowiedział, moje kochane dziecko;

bobym niemogła przed nim taić że ci się podobał ten zawłoka Manello, który wyjechał z Rzymu w towarzystwie Plautilli; a on złajałby cię i żartowałby z ciebie; możeby nawet kazał Manella wtrącić do więzienia.

Giglia widząc matkę tak dobrze zawiadomioną, straciła odwagę; obawa ażeby niezaszkodziła swemu kochanemu Manello, żeby się niestała przyczyną prześladowań jego, zmieszała ją zupełnie. Odwróciła się do ściany wołając w rozpaczy:

Ah mój Boże! mój Boże! jakże jestem nieszczęśliwa!

— I dlaczegoż-to, zapytała Marya, czujesz się być nieszczęśliwą? Czyliż niemasz sposobności teraz pomścić się za niewierność tego nikczemnego chłopca, idąc za człowieka statecznego, który cię piérwszego dnia uczyni bogatszą, aniżeli ten wietrznik przez całe swoje życie!

Ja niechcę iść za mąż, moja matko, rzekła Giglia zalewając się łzami; ja niechcę iść za mąż! I uciekła do swego pokoiku by niesłyszéć tych obelg miotanych na moją osobę.

— Nie jest-to twoje ostatnie słowo, moja kochana, rzekła Marya ozięble; zobaczymy kto komu da radę.

Od téj chwili występywał Romolo otwarcie i jak mógł w roli kochanka Giglii; podwoił swoje zimne grzeczności, robił jéj podarunki, opowiadał o nieznanych krajach i cudach świata, które pokaże swéj żonie. Szczególnie wznawiał często mowę o świetnych obietnicach chrzesnego ojca Giglii. Widoczném było że te obietnice głównym były powodem jego ubiegania się o rękę córki ogrodnika.

Jakże panu opowiedziéć dalsze rozwiązanie téj intrygi? Widział pan już może nieraz w swém życiu podobne ofiary wiedzione do ołtarza. Ta część mego opowiadania zbyt mnie wzrusza, nigdy niezdołam opowiedziéć tych szczegółów. Od owéj bowiem chwili zaczyna się rozpacz méj duszy.

Monsignor Ettore Testaccio przybył znowu gdy sądził że wszystko idzie według jego woli; Giglia niepoważyła się wywieść go z błędu, bojąc się ażeby mi niezaszkodziła i nieutraciła mnie na zawsze. Romolo zdawał się być szczęśliwym i przypisywał skromności nadzwyczajną oziębłość swéj narzeczonéj.

Ofiara się spełniła: Giglię powleczono bladą i zimną jak posąg marmurowy do ceremonii ślubnéj, a stan jéj duszy przypisywano wzruszeniu całkiem naturalnemu u dziewczyny idącéj do ołtarza.

Monsignore sam celebrował, kościół był pełny; Marya powróciła do domu szczęśliwa i tryumfująca. Romolo Gangheri mógł tylko sam osądzić w kilku godzinach czyli Giglia miała miłość lub odrazę dla swego męża. Ale że mu szło głównie o posag, przeto rozwiązanie téj kwestyi niebardzo musiało go zmartwić.

Gdy się to działo w Rzymie, ja kończyłem moje zadanie; zwiedzałem z niecierpliwością miasta Sycylii, powierzając zawsze Plautilli moje obawy i moje nadzieje. Chwila naszego powrotu nadeszła nakoniec: jednego mglistego poranku ostatnich dni Listopada, rzuciliśmy się w objęcia mistrza Angelo, który widząc mnie zawołał:

— Witam cię kochany Manello! dzięki twoim pięknym szkicom, czeka nas sława i majątek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWA DWORY.

Powieść przez *** (z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 30. 32. 33. 34. 36. Rozmaitości.)

VII.

Urodziny.

Wiosna zbudziła ze snu dolinę.
Ciepły jéj powiew rozwiał mgły sine,
Co się skrzepłego czepiały łona.
Kwiatem murawa błysła zielona,
Brzozy nadobne przywdziały szaty;
Tylko dąb zmszony a rosochaty,
Wznosząc do góry krzywe konary,
Doświadczon laty, nie dawał wiary,
Czy znów nie zadmie zima chwilowo:
I tylko nagą potrząsał głową,
Patrząc na ufność drzewiny młodéj,
Co się przybrała wcześnie na gody.

Młoda Halina w tęsknéj niedoli
Ukołysana wiarą powoli,
Jak kwiat zabłysła z wiosną nanowo.
Choć nie tak lica kwitły różowo,
I nie tak oko płonęło młode.
I mgły osnuły hożą urodę;
O! ależ było odgadnąć snadno,
Że wnet przelotne mgły owe spadną,
Gdy je słoneczny promień rozprószy!
Znać hart niemały w dziewiczéj duszy:
Bo choć ją boleść zgniotła na chwilę,
Znowu o własnéj powstała sile,
Podniosła głowę; a trud codzienny
Zagrodził pole ułudzie sennéj,
By w rzeczywistych dni jéj kolei,
Nie tchnęła blaskiem marnéj nadziei,
Co człeku próżno życie okłamie,
I tylko dzielne zbezwładnia ramię!

Ależ jéj lśniła nadzieja owa,
Którą Bóg jeno wybranym chowa,
Gdy w niezmąconéj żyją pogodzie:
Podobni żywéj strumienia wodzie,
Co wciąż odbija o łono czyste
Promienną zorzą niebo gwiaździste.
A gdy widnokrąg chmura osłoni,
Cień jego przemknie po wierzchu toni,
Ale czystego nie skłóci zdroju!

To też Halina pełna spokoju,
Z wiarą się wyższéj poddaje woli,
Pewna, że jeźli Bóg jéj pozwoli
Odżyć pociechą; On ją z wysoka
Żegna opatrznym promieniem oka!
A jednak czasem, gdy zorza z góry
Zapali bystre łożysko Bzury;
Kiedy zachodni promień wieczorem
Zawiśnie łuną nad blizkim borem:
Ona wybiegnie zcicha za wrota,
Patrzy w świat Boży, i myślą mota
Pasmo złocistych owych promieni,
Co po szerokiéj świecą przestrzeni.
I myśli: czemu, gdy wkoło jasno,
Jéj tylko w duszy pusto, a ciasno?
I spojźrzy, kędy w powietrznéj fali
Szarzeje mała wioska w oddali.
Czasem jak widmo, ptakiem po błoniu,
Przeleci jeździec na białym koniu;
Niekiedy silniéj wiatr poruszony,
Przyniesie pieśni urwane tony.
I znowu pusto, głucho dokoła,
Jeno tajemnie skrzydło anioła
Koi dziewicy smutek i trwogę,
I w rzeczywistą zwraca ją drogę!
I wnet ku wiosce idzie z nad rzeki,
Leczyć niemocą zdjęte kaleki,
Powiedzieć smutnym słowo o Bogu,
Ducha zbłąkanych dźwignąć z barłogu.
I dni jéj w cichym spokoju płyną,
Jak wody Bzury kwietną doliną.

Nie doszedł pono takiéj swobody
W poblizkiéj Wólce, Stanisław młody;
Choć on zpod lipy, co dworek cieni,
Ściga gasnących odblask promieni:
Przecież mu w głębi duszy ponuro!
Jakby mu przyszłość zabiegła chmurą!
Darmo jak sokół radby lot śmiały
Wzbić pod obłoki, lub z szczytu skały
Patrzéć na łzawą a tęskną ziemię:
Skrzydła mu dziwne przygniata brzemię,
I nie dozwala bystremi pióry
Prosto ku słońcu lecieć do góry.

Za to ochoczo pan Michał stary
Krząta się wkółko, szczęśliw bez miary,
Bo już niepłonną żywi nadzieję,
Że Stasio doma miejsce zagrzeje.
Toż stary chętnie wszystkiemu radzi:
I z wiosną kwiaty w ogrodzie sadzi,

I w cieniu lipy, po dziennym znoju,
Obok bratanka marzy w spokoju.
Niekiedy milcząc porusza głową,
Czasem poszepnie modlitwy słowo.
Aż raz wieczorem zwolna zagadnie:
— „Słuchajno Wasze, owoż nieładnie
Jak niedźwiedź w jamie przykucnąć doma.
Zażyłość z ludźmi, to rzecz wiadoma,
Zawsze na dobre wychodzi człeku;
Owoż w Waszeci należy wieku
Chwilę rozrywki skosztować przecie."

— „Dość już bujałem jak ptak po świecie"—
Rzecze Stanisław — „chcę dziś po Bogu
Kosztować ciszy w domowym progu.
Choć mi poranne nie zbiegły lata,
Ciężkie mi brzemię barki ugniata!"
— „Pleciesz mi Wasze, jak on Piekarski!
Patrz na mnie: tociem silny a dziarski,
A czyliż mniemasz, że w żywot cały
Ręce te wianki jeno splatały?
O! nie, mój bracie: i moje oko
Nieraz mi zaszło łzawą pomroką,
Niejednąm do dna wychylił czarę:
Alem miał w piersi głęboką wiarę,
Ta mnie ustrzegła, żem z ciężkiéj doli
Zawdy po Bogu wybrnął powoli.
I dziś choć stary, nie biadam wcale:
Co człeku marne pomogą żale?
Snadniéj odwrócisz fortuny koło,
Gdy na świat Boży patrzysz wesoło,
Choć serce boli."
I spojźrzał stary
Het na zasłane żytem obszary.
I milczał chwilę; potem powoli
Ukazał dworek w poblizkiéj Woli.
— „Toć — rzecze — Stasiu dziś urodziny
Naszéj sasiadki, miłéj Haliny.
Wartoby było zajźrzéć tam przecie:
Wszak nienależy chybiać kobiécie.
Już tydzień pono dobiega piąty,
Jakeś powrócił w rodzinne kąty.
Wszak ojce wasi, społem wiek młody
Wśród niezmąconéj przeżyli zgody:
Niejedną soli spożyli beczkę.
Wreszcie, rodzice twoi, dziéweczkę
Do chrztu podali niegdy, przed laty:
Toż nie wypada, bratku, zakaty
Tak bez przyczyny zrywać ogniwa,
Którémi ojców przyjaźń życzliwa
Wiązała długo"...
— „Lecz wuju drogi —
Rzecze Stanisław — wszak obce progi
Zapóźno w owéj odwiedzać porze."
— „Co Wasze gadasz: nim zajdą zorze,
Przemkniem doliną lotem do Bzury."
— „Lecz się na niebie gromadzą chmury,
Wichura świszcze: będzie ulewa."
— „Zawsze się Waszeć złego spodziewa!
Otóż z młodemi Boże skaranie:
Cóżto, czy z cukru jesteś mospanie?
Czyliż się Wasze od deszczu stopi?
Wyrwał się niby Filip z konopi!
Mamże się stary wstydzić bratanka?
Co kiedyś rzecze Waści bogdanka,
Jak ją mieć będziesz, że na zaloty
Nie chciałeś jeździć w dnie dżdżu i słoty?"

— „Już-to nie dla mnie pono te gody!
Nie chcę zamącać błogiéj swobody,
Ani krępować polotu myśli.
Biada poecie! skoro zakreśli
Duchowi swemu zbyt ciasne szranki!"

— „I ptastwo buja w majowe ranki,
A potem rade ciągnie do gniazda:" —
Rzecze pan Michał.
— „Raz tylko gwiazda
Pełnym urokiem zabłyśnie człeku,
W błogosławionym młodości wieku" —
Odrzekł Stanisław skłaniając głowę —
„A kiedy zawód splącze osnowę
Złotéj ułudy: czyż nie szalony,
Kto płomień święty a nieskażony,
Co w czystém piersi ognisku tleje,
Pragnie przyoblec w ziemską nadzieję!"

— „Ej! mój kochany! Wszechmocna władza
Wszystko na Bożéj ziemi odradza!
Zda się, że zimą kwiaty zakrzepły,
A niech wiatr jeno zawieje ciepły,
Znów pełne świéżéj woni a krasy,
Barwią nadobne pola i lasy!
Mnogie ja lata przeżyłem synu:
Wiem, że nad cudny wieniec z wawrzynu
Bywa cudniejszy i milszy Bogu
Ten, co człek wije w domowym progu,
Kiedy mu strzechę rozjaśni nizką
Strzeżone czystą ręką ognisko;
A gdy je dziatki obsiędą wkoło,
Wtedy-to człeku doma wesoło,
Choć Bóg dopuści zamieć i słotę!
Jan z Czarnolesia miał swą Dorotę,
Przecież podziśdzień świat sławi pono
Wielkiego piewcy lutnię natchnioną!"
— „Legły w grobowcach one białogłowy,
Co hodowały płomień domowy
Ręką przeczystą — młodzian odpowié. —
Inna rzecz dzisiaj kobiétom w głowie:
Próżność im zwolna wystudza serce,
W słabéj już ledwie płonie iskierce

Prababek wiara, z któréj przed laty
Wieniec żywota snuły bogaty.
Dziś płomień z serca zbiegł im do głowy:
Każda zwodnemi tumani słowy,
Gotowa wszelką spełnić ofiarę.
Lecz połóż tylko niebacznie wiarę,
Zaufaj sercem szczerém a młodem;
Wnet je grobowym owieje chłodem:
Bo próżność serce w niéj zastudziła,
A w sercu tylko kobiéty siła!"
— „Jest złe i dobre na Bożym świecie.
Owoż-to Waszeć trzy po trzy plecie,
A słonko schodzi pomału z nieba;
Toż się co żywo zabierać trzeba."
— „Ależ mój wuju!"
— „Żadnego ale!
Słusznych powodów nie widzę wcale,
Żeby nchybić zacnéj dziewoi;
Chyba się Wasze nie żartem boi,
By nie urzekło oczko Haliny!"
— „O! do obawy nie mam przyczyny.
Serce me dawno okułem stalą:
Żadne uroki już nie zapalą
Ognia, co niegdyś tlił w piersi młodéj,
Aż go zgasiły mnogie zawody.
Już ja się wuju czarów nie boję:
Gdy chcesz, wypełnię życzenie twoje.
Daléj więc na koń, — jedźmy do Woli!"

I wybiegł żywo. Stary powoli
Poruszył głową, pokręcił wąsa:
— „Oj! coś się chłopak nie żartem dąsa
Na ród niewieści (poszepnął zcicha);
Musiała mu tam któraś do licha
Zalać za skórę. Toć jako żywo,
Prędzéj czy późniéj wyszumi piwo!"
I łzawém okiem objął świat Boży,
Zrumienion w blaski gasnącéj zorzy.

* * *

Chyżo dwaj jeźdzce pędzą przez pole,
Za nimi drobne zdąża pachole.
Jadą przez rowy, miedze i żyta,
I tylko końskie tętnią kopyta;
A gdy się krzemień zetrze ze stalą,
Czasem się lotne iskry zapalą
I w chwili gasną. A ponad głową
Niebo się barwą słoni różową;
Chmurki by ptastwo strzępione złotem,
Z zachodniéj strony pierzchają lotem.
A słońce pysznym blaskiem purpury,
Rumieni ciche łożysko Bzury.

Oj dziwnież bije serce młodziana!
W duszy mu dźwięczy pieśń zapomniana,
I chciwie chwyta powiew doliny,
Kędy swéj wiosny przeżył godziny,
A wiatr mu chłodzi skronie płonące.
Zcicha mkną konie po miękkiéj łące,
Tylko niekiedy wiatr przerwie ciszę,
Gdy staréj olchy szczyt zakołysze.
Czasem słowicza piosnka doleci,
Lnb na piszczałce chłopie zafleci.
I znowu cicho; a tuż przed okiem,
Owiana sinym dymu obłokiem,
Coraz się wdzięczniéj wychyla Wola,
Wkoło zasłana w pszeniczne pola.
Widzi Stanisław krzyż na rozstaju:
Tamtędy z Halką biegał do gaju;
I widzi wzgórze pode wsią blizko,
Gdzie sobótkowe lśniło ognisko.
I krew zawrzała w młodzieńczém łonie.
Wtém oba jeźdzce wstrzymują konie,
A mała łódka czeka nad Bzurą;
Czoło młodziana zachodzi chmurą.
Dziwnąż on walkę sam z sobą toczy!
Ale rad nie rad zawraca oczy
W stronę, gdzie dworek bieleje szary,
Skryty w jaworu bujne konary;
I silniéj serce uderza młode,
I dzielniéj wiosłem porusza wodę.
Pan Michał milczy, i tylko w myśli
Plany na przyszłość powoli kryśli.
Owóż i łódka stawa powoli.
Młodzian spogląda na dworek Woli,
Lecz na podwórku ni żywéj duszy:
Tylko bociany siedzą na gruszy,
I cichéj wiosce stróżują z góry;
Tylko się sroży Zabój ponury,
Warczy, bo obcych czuje zdaleka,
Za wrota bieży, i groźno szczeka.
Lecz gdy starego poznał sąsiada,
Wraca, i zcicha w budzie zasiada.

Dziwnież pobladły lica młodziana!
Patrzy: o! mała zaszła tu zmiana!
Tylko cokolwiek zapadł dwór stary,
Tylko jaworu nieco konary
Wybiegły w górę nad strzechą nizką;
Bo też spłynęło ćwierć wieku blizko
Odtąd, jak społem dzieciny hoże,
W wesołym niegdyś pląsały dworze...

Większe on w sobie dostrzega zmiany:
Jemu pierzchł urok życia wiośniany,
Jemu sieroctwo nad czołem młodém,
Niby mogilnym powiało chłodem.
O! tóż nad sobą westchnął głęboko,
I łzą mu jasne zabiegło oko!

(Dokończenie nastąpi).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*